



W SŁOŃCU



NR. 24.

DODATEK DO TYGODNIKA „Z BLIZKA I Z DALEKA”.

WARSZAWA 13 CZERWCA 1914 R.

Marja Stattler-Jędrzejewiczowa.

Bajka o zbyt wielkim królewiczu.

Ogromna była radość na dworze królewskim, bo oto urodził się królowej śliczny syn i tak był duży po przyjeździe na świat, że się medycy nadworni aż dziwowali i oglądali go na wszystkie strony, a jeden nawet chciał sobie z niego zrobić odlew gipsowy, ale królowa nie pozwoliła.

Królewicz rósł szczęśliwie. Mało to nawet powiedzieć szczęśliwie, rósł nadzwyczajnie, bo w piątym roku życia był już większy od nadwornych paziów, a kiedy zaczął rok dziesiąty, to przerósł swojego ojca.

— To jest dziedziczność — mówił król — podobno mój pra-pra-pra-pradziadek był olbrzymem i brał udział aż w kilkunastu wojnach.

— Mój drogi, ty zawsze chcesz zaznaczyć, że pochodzisz z lepszej rodziny ode mnie — skrzywiła się królowa.

A królewicz wciąż rósł na radość

i chlubę swych rodziców. Nietylko w całym państwie nie było tak wielkiego chłopca, ale i we wszystkich krajach okolicznych. Po pewnym czasie stało się to jednak trochę kłopotliwym, bo jakże mu było dobrać odpowiednich rówieśników? Damy dworu jakiś czas sobie radziły, wprowadzając modę trzewiczków na wielkich korkach, ale wkrótce i to nie pomagało, — królewicz i na nie musiał patrzeć bardzo z góry, tak, że się wszystkie poobrażały.

A już z młodzieńcami, którzy mieli towarzyszyć królewiczowi na łowach, był prawdziwy kłopot. Król nakazał wszystkim nosić szczudła, a sam sprawił sobie składane schodki, które za nim dworzanin ciągle nosił.

Ale młodzieńcy czuli się skrepowani temi szczudłami, przewracali się w gonitwach, nie mogli zgrabnych ukłonów składać damom, aż wreszcie posłali do króla z groźbą, że jeżeli roz-

kazu nie cofnie, to podniosą rokosz. Dla dobra kraju trzeba było ustąpić.

A już najbardziej martwiła się królowa. Póki jej syn był znacznie większy od innych, było to przyjemne, ale kiedy stał się dwa i trzy razy większym, to już poniekąd mogło zakrawać na śmieszność, jak się żaliła najzaufszej ze swych dam dworu.

— W niczym nie trzeba przesadzać, bo to jest w złym guście — mawiała przygnębiona.

Królewicz był coraz samotniejszym.

Powoli i ci nawet młodzieńcy, którzy dla oryginalności towarzyszyli mu na przechadzkach, zaczęli go opuszczać, szczególnie, gdy im narzeczone zagroziły zerwaniem, — tak, że w dwudziestym roku życia wielki królewicz został sam, samiuteńki, jak palec i często, wsparszy się łokciem na wysokim murze, otaczającym zamek, opierał głowę na dłoni i smutno patrzył przed siebie. Nie dość, że w bolesny sposób odczuwał samotność, ale i ten jego wzrost był mu bardzo niewygodny: gdy chciał zapytać o co którego z ministrów, lub wydać rozkaz dworzaninowi, głos jego biegł do nich tak z daleka, że nie odwracali głowy; a komnaty w pałacu wydawały mu się tak ciasne, a okna tak malutkie, że uczuwał ciągłą duszność i ciasnotę.

— Staćby mnie było na wybudowanie memu synowi nowego pałacu — mówił król — ale tyle jest w państwie ważniejszych potrzeb! Dobro kraju przede wszystkim, nie chcę, by kiedyś lud mój powiedział, że zaniedbywałem do-

bro publiczne i robił niepotrzebne wydatki ze skarbcza.

Mieszkał więc królewicz ponieważ w zaciąsnym i zbyt niskim pałacu, to też od wczesnego świtu przesiadywał w ogrodzie i przykro mu było, że z nadzieją nocy musi znowu przekraczać niskie wrota, prowadzące do zamku.

Najulubieńszym zakątkiem był dla niego narożny zakręt muru, otaczającego piękny park, tam mógł przesiadywać całe godziny. Wskakiwał najczęściej na szczyt muru i, wśród gęstwy drzew sam niewidziany, widział, co się dzieje na polach i łąkach, daleko, prawie aż do granic państwa. Widział rolników, orzących glebę i rybaków nad rzekami, — w myślach towarzyszył wiejskim chłopcom i dziewczętom, idącym do żniwa, oglądał dużo ciekawych rzeczy, które mu pozwalały choć na chwilę zapomnieć o samotności.

Nie był jednakże tak samotnym, jak mu się wydawało — była jedna istota, która ciągle, ciągle myślami za nim podążała, ale królewicz nic o tym nie wiedział. Wkrótce się to jednak wykryło i nastały wtedy dla królewicza złote czasy.

Było to tak: siedł raz pustą aleją parkową, cienistą i woniejącą kwieciami lipowym, — był bardzo zamyślony. Wtym słyszy cichutki płacz. Ogląda się naokół i widzi wśród krzewów, na trawniku leżącą jedną z najmłodszych dam dworu, prześliczną księżniczkę Miłę, która, zakrywszy twarzyczkę w dłoniach, płacze rzewnie. Królewicz przykląkł na ziemi i pyta:

— Co ci jest śliczna Miło?

— Och smutne jest moje życie — odpowiada dziewczyna — płaczę, bo jestem taka malutka.

— A czemu chciałabyś być większa, czy aby móc wyjrzeć przez otwór w murze, otaczającym nasz zamek?

— Nie, królewiczu.

— To może, żeby zerwać ten piękny kwiat, który się rozwinał na największym drzewie naszego parku?

— Nie, królewiczu.

— To może, żeby dosięgnąć do gwiazdki, która świeci wprost nad twoim okienkiem?

— Nie, królewiczu.

— To powiedz, czemu pragniesz być większą, i tak przecież jesteś prześliczna.

— Ach, królewiczu czarujący, chciałabym urosnąć bardzo, żeby móc każdej chwili w twoje oczy cudne zaglądać i dobrze słyszeć twój słodki głos, i móc patrzeć na co ty patrzysz i móc słyszeć, co ty słyszysz, i móc cię dogończyć, kiedy idziesz na przechadzkę.

Ucieszył się bardzo królewicz, że księżniczka Miła tak o nim myśli i zmartwił się jej zmartwieniem, więc zaczął ją pocieszać, że przecież znów taka bardzo malutka nie jest, że może jeszcze urosnąć, że ile tylko razy ona zechce, to gotów się ku niej nachylić i spojrzeć jej w oczy, — a jeżeli ona się zgodzi, to może ją wszędzie ze sobą na rękach nosić, bo jest bardzo silny i mocny.

Ale Miła wciąż płakała:

— Zmęczysz się tylko, królewiczu, nosząc mnie na rękach, chcę, żeby moje nóżki same biegały tak prędko, jak

i twoje, i żebym mogła rączką dostać do twoich złotych kędziorów i pocałować twoje szafirowe oczy, choćbyś się nawet i nie pochylił.

Zamyślił się królewicz.

— Gdybyś, Miło, miała skrzydełka, to byłoby wszystko dobrze.

Jak to księżniczka usłyszała, porwała się z miejsca, zaśmiała serdecznym głosikiem i przeciotko uciekła w głąb ogrodu, klaszcząc w ręce. Na drugi dzień Miła miała już śliczne skrzydełka z piórek gołębih, które pozwoliły jej po jednym piórku powyrywać sobie z ogonów. Od samego rana, przypawwszy sobie skrzydełka, Miła fruwała leciutko nad oknem królewicza i wołała go po imieniu. Królewicz wyjrzał i wyciągnął do niej ręce w wielkiej radości.

Od tej pory wszędzie towarzyszyła mu księżniczka i nie żałowała skrzydełek, by mu nadażyć. Cudownie im było razem w długich wędrówkach po parku i okolicznych polach, rozmawiali, rozmawiali bez końca i nigdy się dość narozmawiać nie mogli, — a gdy się skrzydełka Miły zmęczyły, to królewicz brał ją na ręce, a kiedy on się zmęczył, to ona chłodziła go skrzydełkami.

Trwało tak bardzo długo i byli nadzwyczaj szczęśliwi.

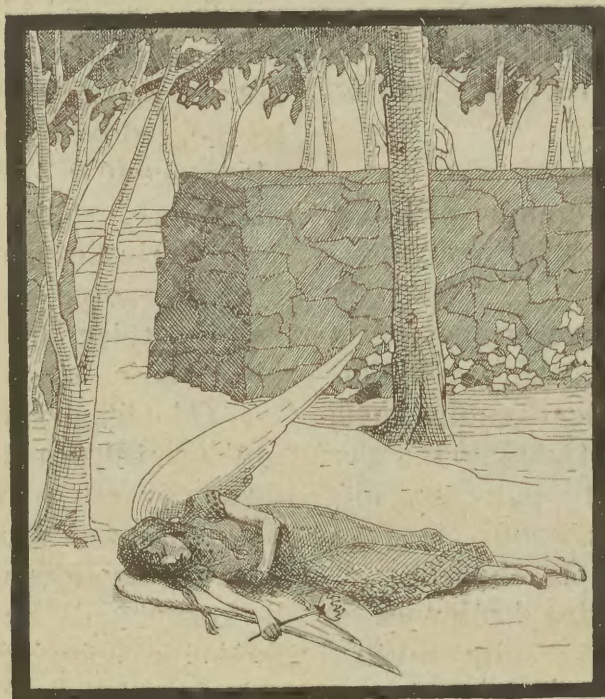
Już się przybliżał dzień naznaczony na ślub, bo się oczywiście postanowili pobrać, już stary król czynił przygotowania, kazał trębaczom nauczyć się nowego marsza i sprowadził nowe liberje wszystkim dworzanom, a królowa od tygodnia naradzała się z och-

mistrzynią dworu, jakaby przygotować wieczerzę na tę uroczystość.

Wreszcie nadszedł dzień oczekiwany, cały pałac ustrojono wieńcami z najrzadszych kwiatów, a podwórzec wysłano dywanami w cudne wzory. Wszyscy postroili się pięknie, jak na wielkie święto, i tylko jeszcze czekano na

po ścieżce parkowej idzie powoli nadworny strzelec. Idzie i patrzy w górę: coś mu mignęło barwnego raz i drugi, przygląda się (a był trochę ślepy na jedno oko): leci wśród gałęzi jakiś dziwny ptak ogromny, połyskujący.

— Czy to aby nie ptak rajski, pomyślał, tożby się przyszła królewiczo-



księżniczkę Miłę, która postrunęła właśnie, by urwać sobie ten piękny kwiat, co rósł na szczycie najwyższego drzewa w parku, a to na pamiątkę pierwszej rozmowy z ukochanym królewiczem.

Leci księżniczka wysoko, prawie jej zdołu nie widać, miga tylko w mieniącej sukience między gałęziami, pantofelki jej iskrzą na słońcu, — a dołem,

wa ucieszyła, gdybym jej zrobił nowe skrzydełka z piórek ptaka rajskiego.

I nie namyślając się długo, pał, pał, strzelił dwa razy i leci Miła na ziemię, ugodzona w samo serce. Padła na trawnik z rozkrzyżowanymi rękami, z bladziutką twarzyczką, z serca sączy się cienką strugą krew czerwona. Okropny to był widok!

Istnieją w życiu tak rozpaczliwe

chwile, że żaden opis ich wiernie nie powtórzy, a pisać o nich jest wprost straszno i najmniejsze wspomnienie rani powtórnie zbolełe serca. Najpierw, gdy taka chwila przyjdzie, ludzie ręce

łamią i płaczą głośno, a potem, gdy czas przeora nasiąkniętą łzami ziemię, przychodzi cichy, milczący ból i sadowi się ludziom u wezgłowia.

(d. n.)

Ewa Toporczyk:

Gołąbki.

(DALSZY CIĄG)

Wszystkie gołębie zagruchały z uciechy, a Tancerz ciągnął dalej:

— Ale to jeszcze nie wszystko; Henryś chciał się oprócz tego dowiedzieć, kim Murzynek i Srokatka są dla Niedoparka, jeżeli on jest mężem siostry Murzynka? Nad tym oboje myśleli jeszcze dłużej, a w końcu zgodzili się, że Murzynek jest szwagrem, a Srokatka szwagierką.

No teraz wiecie już, kim jesteście dla siebie i śpijcie spokojnie, bo i mnie się już oczy zamykają. Dobranoc teściowi i teściowej, szwagrowi i szwagierce.

— Poczekaj, nie śpij jeszcze!— wołały rozbawione gołębie. — A nie mówili też czasem, czemu nas tak dziwnie ponazywali?

Jeszcze Srokatka, Murzynek, to można zrozumieć, bo to od koloru piór, Dyzia, ładne imię, Kapucynek? no to podobno tak się gatunek gołębi nazywa. Ale czemu Sierotką nazwali Sierotkę, kiedy ona ma ojca i matkę od samego urodzenia? Albo Niedoparek? przecie on ma parę? A Rozbójnik i So-

wa na przykład, czemu oni tak się brzydoko nazywają?

— Owszem i o tym mówili. Otóż Sierotka była podobno taka biedna i taka malutka, jakby o nią nikt nie dbał, jakby nie miała ojca ani matki i tak kiedyś, tuląc ją i pieścąc, Henryś powiedział: biedna moja Sierotka! I pozostała Sierotką.

A Niedoparek tak się nazywa dlatego, że kiedyś nie miał pary, a teraz nie chcą na niego wołać Doparek, bo mówią, że to nieładnie.

Szanowny teść podobno rozbijał się mocno za młodu, dano mu więc brzydkie imię Rozbójnika, ale my już teraz tak na niego wołać nie będziemy. A pani teściowa, nie wiem, czy mi wypada powiedzieć, miała jakoby taką niemądrą minę, jak sowa kiedy patrzy w słońce. Ale to już dawno było, zacna teściowo, więc proszę się nie gniewać, że powtarzam plotki.

Chcieliście wiedzieć, więc wam mówię, com słyszał i nie pytajcie o więcej, bo już śpię i wam radzę to samo.

Oboje teściowie zagruchali z nie-

zadowoleniem i mieli ochotę obrazić się na Tancerza, bo nie podobało im się jego tłumaczenie, ale nie mieli już siły gniewać się, bo wszyscy byli mocno zmęczeni i senni.

Ciężkie, jakby piaskiem zasypane powieki, opadały same i całe towarzystwo usnęło smacznie, a za chwilę głucho cisza panowała już w gołębniku.

Przez jakiś czas życie gołębi płynęło jednostajnie i spokojnie. Nawet Tancerz niewiele znosił wiadomości i plotek i wyglądał tak, jakby zaczynał się nudzić i tęsknić za jakąś zmianą.

Wylatywał z gołębnika na długie godziny, wracając, nie nie opowiadał, siedział w swoim kąciku i dumał nad czymś poważnie.

Pewnego dnia Tancerz ożywił się się nagle i z dawnym hałasem wpadając do gołębnika, oznajmił zgromadzonemu, że będą mieli gości, a właściwie dostaną nowych towarzyszy, bo słyszał, jak Henryś i Stefcia opowiadali sobie, że dziś przeprowadzą do gołębnika parę białych, bo już się oswoiły i nie uciekną napewno, byle im tylko stare krzywdy nie robiły.

Powstało małe zamieszanie—każdy był ciekaw, jak wyglądają przybysze? Czy będą dobrzy i spokojni? Czy można będzie żyć z nimi w zgodzie?

Nawet małe, które już sporo podrosły i zaczęły dostawać szych i białych piórek, wychylały ciekawie łebki z gniazdek, jakby spodziewając się ujrzeć już nowych gości.

A tymczasem opiekunowie raz po raz wpadali do gołębnika.

Przyniesiono nową miseczkę na wodę, wybrano miły zaciszny kącik dla przyszłych lokatorów, przyczem wypadło przenieść gniazdko Sierotki nad sam brzeg otworu, wiodącego na dół. Wznoszono nawet sporo drobnych patyczków, żeby biała parka miała z czego usłać sobie gniazdko. W końcu, dla porządku zamiatano znowu, wznosząc tak szalony kurz, że biedne gołębie musiały zamykać oczki i chować dziobki, żeby się nie podusić, a sami opiekunowie kichali i kasłali naprzemian.

Po ukończeniu przygotowań zajmowano jeszcze do piskląt. Wyszczono je z gniazdek, każąc im uczyć się chodzić, bo uważano, że są już dosyć duże, tylko takie leniuchy, że im się nie chce ruszać.

Maleństwa, porośnięte już trochę piórkami, wtuliły główki w skrzydełka, napuszyły się i, mrugając oczkami, siedziały skulone, nie mając sił, ani ochoty ruszyć się z miejsca.

Mamy trochę przestraszone, przypatrywały się tej przymusowej nauce i zaczynały już gruchać niespokojnie, przywołując małe do gniazdek, kiedy na szczęście opiekunowie, zadecydowawszy, że to jeszcze niedołęgi i bawić się nie umieją, wsadzili je z powrotem pod skrzydła matek, a sami złożyli wizytę Sierotce w jej nowym mieszkaniu.

Tu trzeba było koniecznie zajrzeć do jajek, bo podrzutek powinien był się wykluć dziś albo jutro, ponieważ, jak słusznie domyślano się w gołębniku, było to rzeczywiście jajko kurki, która na nim siedziała tydzień cały,

a Sierotka ogrzewa je już też ósmy, czy dziewiąty tydzień.

Podniesiono ostrożnie Sierotkę i naraz rozległy się w gołębniku dwa okrzyki radości—jajko było naklute!

Brano je w ręce, obracając na wszystkie strony, próbowano odłupać skorupkę, chcąc ułatwić malcowi wydostanie się na świat, ale na szczęście, czy nieszczęście, skorupka trzymała się jeszcze mocno, ze strachu więc, żeby nie uszkodzić pisklęcia, położono jajko na miejsce i usadzono na nim troskliwie Sierotkę.

Nagle przypomniano sobie, że białe pewnie niecierpliwie oczekują chwili przenosin i, z odpowiednim hałasem, opuszczono się na dół po trzęsącej drabince.

Za chwilę znów obie główki ukazały się w otworze i oczom rozciekawionych gołębic i młodych gołąbków ukazali się nowi towarzysze: Bielasek i Śnieżka, niesieni z wielką czułością przez oboje opiekunów.

Były to śliczne, zgrabne gołąbki, białe jak dwa płatki śniegu, z pięknymi czubkami, różowymi dziobkami i nóżkami, a ciemne, błyszczące ich oczka mrugały szybko jakby ze strachu.

Mamy-gołębice wyciągnęły szyjki, żeby się lepiej przyjrzeć przybyszom, małe wychyliły się z gniazdek, nawet Sierotka uniosła się na jajach, chcąc zobaczyć, jak też wyglądają te nowe gołębie, które ludziom podobały się tak bardzo?

— No cóż? Takie same jak my, tyle tylko, że białe—szepnęła mama Srokatka do ucha sąsiadki Dyzi.

— Takie same, ale ładne i miłutkie; będziemy chyba żyć z niemi w zgodzie—odpowiedziała równie cicho Dyzia.

— Były tylko nie były kłótlive, to ja pewnie dokuczać im nie będę—oświadczyła Srokatka.

Tymczasem opiekunowie umieścili białą parę w wybranym kąciku, związali obojgu końce skrzydełek, żeby nie uleciały, nasypali przed niemi całą górę pszenicy, naleli świeżej wody do miseczki i podsunęli bliżej naznoszone patyczki, żeby gołębie nie potrzebowały się trudzić, jak im przyjdzie ochota usłać sobie gniazdko. Spełniwszy to wszystko, usiedli oboje na podłodze, przyglądając się z zachwytem nowej parce.

Śnieżka i Bielasek, wystraszeni nieznanym otoczeniem, wtulili się w najciaśniejszy kącik i, mimo próśb i zachęcań, nie dali się namówić na skosztowanie pszenicy.

Z początku dzieci nie mogły zrozumieć tego dziwnego uporu, w końcu jednak domyśliły się, że prawdopodobnie straszą ich swą obecnością, postanowiły więc zejść z gołębnika i z wielkim żalem, zatrzymując się co chwila i oglądając, opuściły się po drabince na dół.

(d. n.)

Janusz Korczak:

Z Tygodnika Domu Sierot.

NIEMA JUŻ FIGI.

Opuściła nas krzykliwa Figa. Poszła pracować na siebie, u obcych. Mogła pomagać w kuchni—nie chciała.

Nie wiemy, czy długo obcy ludzie będą z Figi zadowoleni — może miesiąc—może dwa—boimy się, czy potym nie zaczną się sypać skargi: Figa nieporządna, Figa leniwa, Figa nieposłuszna.

Myśmy przebacжали dużo Fidze, bośmy znali jej wady, ale inni nie będą tacy pobłażliwi.

Zawsze najtrudniej jest wiedzieć, co kiedyś będzie. I łatwo się omylić, przepowiadając przyszłość. Może i my się mylimy, myśląc, że Figa się nie zmieni, że zostanie nieporządną, leniwą i nieposłuszną. Ludzie nie lubią się mylić, zawsze chcą, żeby tak się stało, jak oni przepowiedzieli. Ale my chcemy, bardzo chcemy, żeby się nasza

przepowiednia nie sprawdziła, żebyśmy się omylili.

LIST DO RODZINY NACI.

Posłaliśmy do rodziny Naci taki list:

„Piszemy Pani, że bardzo Nacie kochamy, bo jest grzeczna, dobrze się uczy i nie sprawia nam przykrości. Nacia jest bardzo miła i dobra“.

Takich listów chcielibyśmy pisać dużo, coraz więcej.

Chcemy, żeby dzieci pamiętały o swoich rodzicach. Chcemy, żeby wasze babcie, ciocie i mamusie — jeśli które z was ma matkę—także o was pamiętały.

Niech się cieszą, jeżeli ich dziecko, albo wnuczek uczy się dobrze i dobrze się sprawuje. Niech wiedzą, jeśli coś złego zrobi. Niech nie mówią: — „Już teraz o nich nic nie wiemy, bo już do nas nie należą“.